Świat młodych

archiwum

WARSZAWIE

TERESA BOGUSŁAWSKA

Rozciągnęła nad Tobą noc skrzydła,
rozciągnęły się mgły ponad Tobą;
w burz i wichrów spętałaś wędzidła.
i płomienie Ci ognia — ozdobą.
Rozpętały nad Tobą się burze,
zaświeciły Ci łuną łez krwawą,
lecz Tyś wyższa, Tyś wzrosła ku górze,
o, męczeńska — o, święta Warszawo!
Gdy Ci grały szatańsko szrapnele,
gdy ci bomby pękały wśród ognia,
w Tobie wzrosło wielkości tak wiele,
że nie zmogła jej siła i zbrodnia.
Shartowałaś się we krwi i w ogniu
i moc swoją zachowasz na wieki;
moc, co w każdym już żyje przechodniu,
tętni w murach, gra w nurtach twej rzeki.
Takaś dumna, wyniosła i żywa,
taką jesteś promienną i krwawą . . .
Dzwon się głuchy w oddali odzywa . . .
Klękam w prochu przed Tobą, Warszawo!

archiwum

SABINKA

Sabinka Kaczmarkówna była bardzo długo w Oświęcimiu. Przybyła tu dlatego że pochodziła z Zamojszczyzny, a niemiecki rząd okupacyjny przenosił na te ziemie właśnie Niemców i ,,niemiecką kulturę", wyrzucając brutalnie ze wsi i miasteczek polską ludność — ,,polskich chamów" — jak mówili Niemcy.

Rodzice Sabinki mieli kawał ziemi i dom pod Zamościem. Pewnej nocy grudniowej w 1942 r. zajechał pod ten dom wielki samochód ciężarowy, kazano spakować rzeczy, załadować się całej rodzinie — i powieźli. Matka Sabinki głośno zawodziła, tato gniewał się i zaklął czasem głośno, młodsze dzieci płakały. Sabinka miała ochotę pokrzykiwać z radości, tak jej się podobała ta jazda, w czasie której chaty i drzewa uciekały wstecz, jak duchy.

Mały Mateusz, którego jeszcze matka sama karmiła, umarł zaraz w pociągu. Zadusili go na ręku matki, taki był ścisk. Babcia niedługo pożyła w Oświęcimiu; pewnego dnia położyła się na błotnistej ziemi pod blokiem i zapowiedziała, że się stąd nie ruszy. Blokowa uderzyła ją parę razy, ale dała spokój, bo staruszka już umarła. Matka chodziła w pole do rozbiórki domów. Męczyła się bardzo. puchły jej nogi.

W lutym zarządzono apel generalny. Cały obóz ustawiono piątkami i pędzono przez bramę. Na wielkim placu za drutami stało się dwanaście godzin, a potem powrót do baraków biegiem przez bramę. Nie wolno się zatrzymać — kto upadł, inne piątki musiały biec po nim; kto się potknął, kto miał twarz mizerną czy nie dość dziarską minę, tego SS-man stojący w bramie, słynny okrutnik Taube, trącał laską. To dotknięcie laską Taubego znaczyło wyrok śmierci, a matkę Sabinki tego dnia dotknęła jego laska. Poszła na blok 25, zwany blokiem ,,kwarantanny śmierci".

Sabinka podkradała się pod zakratowane okna bloku i przez wybitą szybę podawała matce garść śniegu i część własnej porcji chleba, bo na bloku 25 nie wydawano ani wody ani jedzenia. Przez pierwsze dni cisnęły się do otworu w oknie i inne głowy. Rozchylały się spieczone, czarne od gorączki wargi i błagały o picie. Na chleb Sabinki patrzyły łakomie nieprzytomne oczy, ale ona nie miała go dość dla własnej matki. Blok 25 rozbrzmiewał jękami ofiar, lecz twarze dzień po dniu odpadały od okien, znikały. Nie miały już sił dźwigać się do nich. Jęki cichły.

Po tygodniu matka Sabinki nie podeszła do okna, a tego samego wieczoru zajechały samochody. Jak szmaty, ładowano na nie ludzi — żywych jeszcze i umarłych razem. Dziewczynka skulona za węgłem z przerażenia i żalu zobaczyła matkę, jak na opuchłych nogach wlokła się za innymi. Nie była pewna, ale zdawało jej się, że poruszyła ręką, jakby się chciała przeżegnać. Wepchnięto ją na platformę i samochód pojechał za bramę w stronę ,,kominków", gdzie palono ciała ofiar obozu.

Sabinka została sama. Ojca i ośmio-letniego brata oddzielono zaraz na początku i wysłano niewiadomo dokąd. Po śmierci matki pozostał wyraz przerażenia w oczach dziewczynki i często nie rozumiała, co się do niej mówiło

archiwum

i co się wokół działo. Niedługo potym zachorowała na tyfus. Kiedy zemdlała na apelu, odprowadzono ją na rewir — do szpitala obozowego, gdzie jednak nie było lekarstw i tylko cudem silny z natury organizm zwalczył chorobę. Po dwuch tygodniach wypisano ją ze szpitala i wygnano w pole na robotę. Trzeba było codziennie dwa razy przechodzić odległość 8 km. i Sabinka pracowała przy regulowaniu ziemi, rozbijając kilofem zmarznięte grudy. Coraz ciężej było pracować, nogi puchły i uginały się w kolanach, skóra na opuchliźnie pękała, a rany ropiały. Po powrocie do obozu ostatkiem sił dziewczynka szła do ambulansu, gdzie ichtiolem opatrywano rany, ale papierowe bandaże spadały, zanim zdążyła wrócić do swego baraku.

Sabinka zachorowała na biegunkę, jak zresztą ogromna większość w obozie. Po kilkanaście razy każdej nocy musiała zwlekać się ze swej pryczy ,,na trzecim piętrze" i chodzić do ustępu. Potem już tak często opadały ją boleści i tak słabła, że nie miała siły wlec się po błocie tyle razy i spędzała większą część nocy w ubikacji, nakryta lekkim kocem, drżąc z zimna osłabienia i gorączki.

Lecz, jak mówi przysłowie: Tam, gdzie najgorzej, Bóg jest najbliżej. Bliskość Boża

archiwum

objawiła się Sabince w sposób zupełnie nieoczekiwany. Nocną dozorczynią w bloku Sabinki była Piekutkowa. Co wieczór wśród zgiełku głosów kilkuset mieszkanek baraku dawało się słyszeć jej grube, ochrypłe wołanie: ,,Światło gaszę, cicho tam i spać"! Hałas wybuchał jeszcze parokrotnie, narzekania i jęki gorzej cierpiących, aż wreszcie wszystko cichło. Piekutkowa, opatulona w chustki i koce, z grubym kijem w ręku, siadała u drzwi baraku.

Bano się jej bardziej, niż samej blokowej. Była nieprawdopodobnie ordynarna i biła za byle co. Nienawidziła chorych, którzy nocą wstawać musieli wielokrotnie i wlec się do ustępów. Niektórzy z nich, zupełnie już bezsilni, nie mogąc dowlec się na miejsce, przykucali pod barakiem, rozglądając się ostrożnie. Wtedy Piekutkowa, zaczajona w mroku, podbiegała i swym grubym kijem wymierzała potężne uderzenie, by ,,oduczyć robienia nieporządków."

Tej nocy Sabinka była tak słaba, że o przejściu błotnistej przestrzeni nie mogła ani marzyć. Uszła parę kroków za barak i — zjawiła się przed nią niespodziewanie Piekutkowa. ,,Jezu, ratuj" — krzyknęła dziewczynka i skuliła się w oczekiwaniu na uderzenie kija, ale tym razem kij nie spadł. Cienki głosik Sabinki i jej kresowy akcent poruszyły widać jakąś już głęboko utajoną strunę w sercu Piekutkowej. Może przypomniała się jej własna córka, którą Niemcy po wysiedleniu wywieźli na roboty? Nie uderzyła i powiedziała spokojnie: ,,A pamiętaj, żebyś mi więcej tu nie przychodziła." I zawróciła do swoich garnuszków, w których co noc gotowała jedzenie. Gotowanie było najsurowiej karane; gdy złapano którąś na tym przestępstwie, sadzano do ,,bunkra" na parę dni, gdzie trzeba było stać po kostki w wodzie. Ale cóż znaczyły zakazy wobec głodu! Nocą gotowano na piecu barakowym, gdzie pierwsze miejsce miały garnki Piekutkowej.

Teraz co noc budziło Sabinkę szturchnięcie: ,,Na, masz, jedz!" Piekutkowa stawiała przed dziewczynką garnuszek dymiących kartofli. Biegunka wkrótce minęła zupełnie i niedługo potem, również dzięki pomocy Piekutkowej, która gotowała przysmaki dla ,,dygnitarek" obozowych, przeniesiono Sabinkę do szwalni. Tam przez dwanaście godzin dziennie łatała stare pasiaki lub darła na szmaty zniszczoną do ostateczności bieliznę. Zaduch brudnych gałganów i niemytych ciał towarzyszek niedoli sprawił, że Sabinka zaczęła kasłać. Wprawdzie opuchlizna nóg znikła zupełnie, ale kaszel stawał się coraz dokuczliwszy. Znów poszła Sabinka do szpitala. Doktór Kasia, przedobra i jedyna Polka wśród lekarzy, wydobywała niewiadomo skąd zastrzyki z wapna dla Sabinki, ale nic już nie mogło zwalczyć choroby płuc, zwłaszcza, że wilgotny i zimny klimat Oświęcimia osłabił bardzo 14-letni organizm dziewczynki.

Na parę dni przed likwidacją obozu w Oświęcimiu Sabinka sama wypisała się ze szpitala. ,,Nie chciała chorować" i jako zdrową wysłano ją z transportem więźniów pod koniec stycznia 1945 piechotą na Śląsk, a potem samochodami i odkrytymi wagonami do obozu Belsen-Bergen. W marcu wypluwała już resztki płuc. Skarżyła się, że nie może nic jeść. Jeszcze wtedy zwlekała się z siennika i czepiając się innych łóżek i prycz, wychodziła przed barak na powietrze. Jej ogromne oczy patrzyły na każdego z cichym zapytaniem: ,,Teraz ciągle pluję. To chyba lepiej?"

Sabinka umarła w dzień odzyskania wolności.

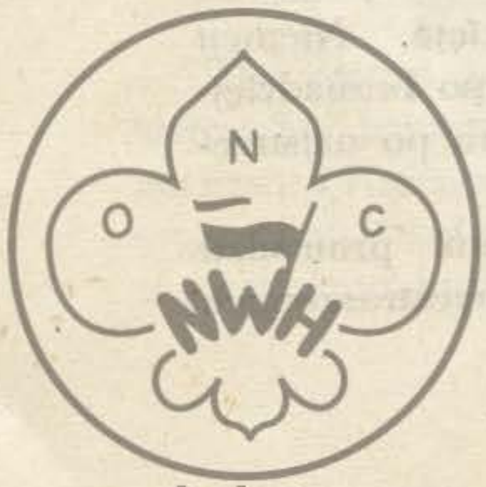

archiwum

FRANEK z Północnej Francji

A. K.

W poprzednim numerze zapowiedzieliśmy cykl krótkich opowiadań o żołnierzach P.S.Z. — ochotnikach z poza Polski. Dzisiejszy artykulik jest pierwszym z tego cyklu.

Redakcja.

Jeżeli wyjedziesz z Lille choćby tylko parę kilometrów i będziesz jechał krętymi, wąskimi dróżkami pośród małych, czerwono-szarych domków zaraz rzucą ci się w oczy wielkie, ciemne, ponure hałdy węglowe, zobaczysz sunących do pracy górników, tysiące, niekończące się karawany wagonów napełnionych tym najcenniejszym produktem ziemi — węglem.

Franek ..... był jednym z takich właśnie górników, których tysiące możesz widzieć w Marles-les-Mines, Barlin, Anzin, Ostricourt, Lens czy setkach innych mniejszych i większych kopalń.

Wstawał skoro świt razem z innymi i razem z innymi zjeżdżał na swoją szychtę w czarną czeluść kopalni. Swoją pracę zaczął od koniarka przeszedł wszystkie szczeble „kariery" górniczej zanim został pełnym górnikiem. Lubił swój ciężki i niebezpieczny zawód, miał poczucie wartości swej pracy. Umiał pożytecznie spędzić czas wolny od zajęcia. Był zadowolony.

Franek urodził się w Bochum w Westfalii i po pierwszej wojnie światowej jako pędrak jeszcze wraz z rodzicami przejechał do Francji szukać nowego kraju i nowego chleba. Polaków było po staremu w okolicy i na kolonii dużo, mówiło się po polsku do polskiej chodziło szkoły i polskiego kościoła.

Wojna 1939 jak grom uderzyła w spokojną Frankową kolonię. Zagotowało się wszystko. Starzy zaczęli politykować i mądrzyć się, młodzi myśleć jakby tu pomóc dalekiej Ojczyźnie. Coś robić . . .

Wszystko poszło szybciej niż można było przypuszczać. Polska została zalana niezliczonymi hordami hitlerowskimi, ale jednocześnie tuż za jej granicą poczęły się tworzyć pierwsze ośrodki odradzającej się Armii Polskiej.

Franek zgłosił się jeden z pierwszych do tworzących się we Francji oddziałów Armii Polskiej. Z Armią tą przeszedł całą kampanię francuską, został ewakuowany do Anglii, przeszedł przeszkolenie w Szkocji i wraz z 1 Dywizją Pancerną wyruszył na inwazję Francji w roku 1944.

Idąc wraz ze swoim pułkiem piękną ziemią francuską walcząc o każdy kawałek ziemi o każde przejście i niemal dom każdy w Normandii rozmyślał jak się to dziwnie składa, że właśnie jemu i innym jemu podobnym Polakom przychodzi krwią płacić za gościnność tej ziemi, że zostawiają swe kości po wszystkich krajach świata a przecież chcieliby do swojej dalekiej dotrzeć ziemi.

Gdzieś niedaleko w walce przesunęli się koło jego własnej kolonii, żeby inne czasy i inne warunki to przecież mógłby nawet swoich rodziców odwiedzić, ale trzeba było naprzód i naprzód bez wytchnienia.

W głębi Belgii napotkał ze swoim oddziałem na bardzo silny opór wyborowej jednostki niemieckiej. Walka była zacięta. Niemcy bronili się rozpaczliwie i pomimo beznadziejności oporu, poddali się dopiero po wystrzeleniu ostatniego naboju.

Franek wraz z kilku kolegami prowadził do tyłu grupkę brudnych przestraszonych

archiwum

i niepewnych jeńców. Patrzyli w oczy pokornie i nie byli podobni do tych „panów świata" którzy wkraczali kiedyś do Warszawy czy Paryża. Franek widział ich niespokojny przerażony wzrok skierowany na napisy na rękawach „POLAND".

Wyprostował się dumnie i zrobiło mu się jakoś lżej na duszy. Ta jedna mała chwilka dała mu wielką satysfakcję.

— Niech wiedzą łobuzy — że Polski nie pokonali — pomyślał sobie.

W Holandii przy zdobywaniu Bredy dostał odłamkiem granata w nogę, ale nie ustąpił ze stanowiska przy karabinie maszynowym aż go zluzowano. Odznaczony krzyżem Walecznych powędrował do szpitala. Rana nieopatrzona widocznie w czas zaczęła się gnoić. Groziła nawet amputacja nogi. Cudem jakimś udało się ją uratować. Skończyło się na bardzo przewlekłym i nudnym leczeniu.

Teraz Franek o sześć lat starszy, z całym bagażem nowych przeżyć i wspomnień wraca do Francji. Może już wrócił. Może spotkacie go znów jak zjeżdżać będzie do którejś z kopalni.

Pozdrówcie go wtedy. Uściśnijcie serdecznie jego rękę. Rękę i która umie pracować i umie walczyć.

Z.H.P. WE FRANCJI

Harcerstwo polskie we Francji jest organizacją silną i o bogatej tradycji. Podczas okupacji niemieckiej harcerze byli najczynniejszymi członkami organizacyj podziemnych. Zaraz po uwolnieniu Francji Harcerstwo polskie wyszło z podziemi i zaczyna jak dawniej odgrywać czołową rolę wśród organizacyj młodzieżowych na tamtym terenie. Fotografia nasza przedstawia drużyny harcerskie w marszu przez ulice Lille.

archiwum

KUBA MAŁPA Z FANTAZJĄ

ANDRZEJ KORAB

Małpy są to stworzenia zdecydowanie zabawne. Czy obserwowaliście kiedy te ruchliwe, pełne pomysłowości zwierzęta w Zoo? Czy widzieliście jak rozpędzone skakały z gałęzi na gałąź, pędziły uparcie przed siebie z jakąś niesamowitą siłą i przekonaniem by w pewnej chwili stanąć bezradnie z miną pełną obojętności i filozoficznego zadumania.

Tak niewątpliwie, wszystkie te i tym podobne małpie harce są bardzo zabawne, ale bardziej interesująca jest obserwacja małpy na wolności.

Miałem kiedyś okazję przyglądania się figlom takiej zabawnej osóbki. Nie myślcie, że w Afryce. Wcale nie. Poprostu było to w Warszawie.

Jeden z moich znajomych, który spędził kilka lat w północnej i środkowej Afryce przywiózł stamtąd do Warszawy niewielką małpeczkę, którą miał u siebie przez cały czas pobytu na Czarnym Lądzie.

Małpka była niepozorna i właściwie niczym nie różniła się zewnętrznie od tysięcy swoich towarzyszek ze wszystkich dżungli i wszystkich ogrodów zoologicznych świata.

Dopiero bliższe zapoznanie się ze sposobem życia Kuby (tak mój znajomy nazwał małpkę) okazywało nieprzeciętne zdolności skromnego zwierzątka.

Kuba był normalnie bardzo do wszystkich przyjacielsko nastrojony i uważał za swój najbardziej oczywisty obowiązek podawanie swej śmiesznej włochatej łapki na powitanie. Osobom, które specjalnie lubił potrafił niejednokrotnie pięć i więcej razy ofiarować „shake hand". Zdecydowanie natomiast nie lubił ludzi wąsatych i brodatych.

Znajomego mego a właściciela Kuby, odwiedził kiedyś pewien znakomity profesor warszawski, który znany był w całym kraju tak ze swych świetnych wykładów i książek o kulturze greckiej jak i wspaniałej, majestatycznej brody. Byłem wtedy w pokoju gdy profesor ukazał się we drzwiach. Kuba tak gościnny dla wszystkich, zaczął wyprawiać dzikie harce. Biegał wściekły po wielkim salonie, drapał złośliwie meble, fukał, jęczał, stękał, pokaszliwał a fotel w którym usadowił się profesor obchodził zdaleka obrzucając go złośliwym, niechętnym spojrzeniem. Zachowanie Kuby doszło wreszcie do tak histerycznego stanu, że trzeba było go, pomimo pisków i skowytów z pokoju usunąć i zamknąć w łazience.

Ten sposób kary okazał się jednak w praktyce nienajlepszym. Kuba zamknięty w pokoiku pełnym różnych ciekawych przyrządów nie nudził się wcale. Przede wszystkim przekręcił zasuwkę i zamknął się, żeby mu nikt nie przeszkadzał, potem zaczął bobrować w szafce z przyrządami toaletowymi wysypał puder, umalował się sam jak nieboskie stworzenie, wszystkie ręczniki szlafroki i szereg innych drobnych rzeczy wpakował do wanny i otworzył kurki z wodą, ciesząc się niesamowicie, że wszystko tak pięknie pęcznieje pod wpływem strumieni cieknącej wody. Woda niedługo poczęła przeciekać przez wierzch i wylewać się na podłogę łazienki. Żeby się nie zamoczyć Kuba zgrabnie wskoczył na okno i stamtąd z dużym spokojem obserwował wzbierający poziom wody. Niewiadomo czy sprawa nie zakończyłaby się smutnie dla samego Kuby, gdyby przypadkiem ktoś nie zauważył strugi wody wylewającej się z łazienki na korytarz. Dudnienie do łazienki. Odpowiedział tylko znany pisk Kuby. Domyślano się, że jest to jego zemsta za przyjmowanie

archiwum

niemiłych osób w domu i zamykanie go w pustej łazience.

Wobec tego, że drzwi były zamknięte od wewnątrz, trzeba je było wyważyć. Woda trysnęła falą na korytarz i całe mieszkanie. Całe szczęście, że Kuba otworzył kurek z zimną wodą. Gdyby tak przypadkiem była to woda gorąca sprawa byłaby niepomiernie trudniejsza i bardziej przykra.

Kiedyś Kubuś zachorował. Chodził jakiś smutny i osowiały. Pokaszliwał i postękiwał. Wszyscy w domu litowali się nad biednym afrykańczykiem, któremu zapewne brak było rodzinnego słońca, więc okręcano go w jakieś ciepłe szale, pojono lekarstwami i obchodzono się jak z jajkiem. Matka mego przyjaciela, sądząc, że na przeziębienie może dobrze zrobić nieco alkoholu, dała Kubie łyżeczkę tego napoju.

Pierwsze wrażenie było bardzo zabawne. Zdecydowanie płyn nie przypadł mu do gustu, ale jak przełknął i udczuł miłe ciepło, zaczął zdradzać objawy pełnego zadowolenia. Zrzucił z siebie wszystkie szale i swetry i zaczął harcować wesoło po pokoju.

Od tego czasu jak tylko widział kogoś przy kredensie w którym była schowana wódka, udawał kaszel, stękał i robił nieszczęśliwą minę dopraszając się tego oryginalnego lekarstwa.

Zabawy z Kubą było bardzo dużo, nie można jednak powiedzieć, żeby nie było więcej kłopotów.

Dopóki był w dobrym humorze wszystko było jaknajlepiej. Zostawiony w mieszkaniu sam, bawił się z kotami i psem z którym był w najlepszej komitywie. Udawał szelma, że chce zjeść psu jego kaszę z miski. Zakradał się do kąta, robił najrozmaitsze cuda żeby odwrócić uwagę psa od swych zamiarów, dopadał gwałtownie jedzenia i udawał że zaczyna je wykradać. Oczywiście straszliwe ujadanie, gwałt i nieszczęście, Kuba odpędzony ale dumny ze swoich wyczynów lądował gdzieś na piecu i stamtąd nawpół sennym wzrokiem oglądał resztkę domowej menażerii.

Inaczej rzecz się miała kiedy coś mu się niepodobało, kiedy poprostu jakieś muchy w nosie nie pozwalały czekać spokojnie na powrót państwa. Łaził wtedy wściekły i opryskliwy po wszystkich pokojach wielkiego mieszkania upatrując gdzie by to można jaką szkodę zrobić. A pomysły miał nienaj. gorsze.

Potrafił naprzykład skakać aż prawie pod sufit na ścianę, zaczepiać pazurami tapetę i zrywać ją aż do samego dołu. Widziałem jeden pokój który w ten sposób ,,załatwił". Przedstawiało się to jak obraz nędzy i rozpaczy. Kuba pierwszy raz wtedy dostał od swego pana lanie. Wił się jak fryga i uciekał i cała kara była właściwie raczej manifestacją niż prawdziwą reakcją, ale małpa była niezwykle grzeczna i taktowana przez najbliższe dni. Tapety w pokoju zostały zamienione, (przyjaciel mój twierdził, że właściwie tamte stare i tak powinny być już dawno zmienione tylko nigdy jakoś na to nie było czasu no a ten wypadek, przyspieszył wykonanie dawnych planów).

Przez czas jakiś po tym zdarzeniu nie byłem u mego przyjaciela i nie dowiadywałem się co się dzieje u nich. Czując, że nie jestem w porządku a trochę z ciekawości i sympatii dla Kuby wpadłem na chwilę któregoś popołudnia.

— Jak Kuba? — zapytałem już w przedpokoju.

— Nie wspominaj mi o tym potworze — odpowiedział mi rozdrażniony gospodarz — nie chcę o nim więcej słyszeć.

— Co się stało? — zapytałem zaciekawiony — czyżby jakaś nowa niespodzianka?

— Chodź, popatrz!

Weszliśmy do pokoju, który Kuba niedawno obdarł z tapet. Teraz pokój był obity nanowo ładną jasno-złotawą tapetą, ale która cała od góry do dołu popstrzona była wielkimi plamami atramentu. Plamy te zresztą niebywale przypominały ślady znanych mi łapek Kuby.

— Czyżby to rzeczywiście najnowszy pomysł? — zapytałem.

— Wyobraź sobie moje zdumienie i moją wściekłość jak to zobaczyłem. Przed niedawnym czasem sprawiłem nowe obicie, kosztowało mnie to tyle grosza. Przychodzę wczoraj i zastaję Kubę, jak w atramencie z rozlanego na ziemi kałamarza, macza swoje łapska i systematycznie, jakby mu kto kazał,

archiwum

pieczętuje wszystkie ściany. Myślałem, że go zabiję z wściekłości.

— No i co zrobiłeś?

— Właściwie nic. . . — powiedział mój przyjaciel niepewnie, starając się nie patrzyć mi w oczy: Widzisz Kuba był właściwie tak zadowolony ze swego dzieła, że nie miałem serca mu robić awantury . . .

Dowcipne zwierzątko miało zresztą inne jeszcze sprawki na swym sumieniu i stało się nawet swego czasu głośne w całej Warszawie.

Raz w tramwaju zerwał jakiejś starszej pani kapelusz z głowy i z miną bardzo wdzięczną wyrzucił przez otwarte okno, innym razem w wielkim sklepie Braci Pakulskich podważył skrzynkę z pomarańczami i wysypał je wszystkie wprost na ulicę ku szalonej uciesze chłopców sprzedających gazety, którzy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa namówili go do tego szpetnego figla, tak przynajmniej Kuba tłumaczyłby się gdyby umiał mówić.

Sprawa się pogorszyła znacznie z chwilą gdy Kuba idąc któregoś dnia z swym panem przez zapchane ulice stolicy spowodował awanturę z policjantem.

Dzień był deszczowy i nieprzyjemny. Kuba wędrował ze swym panem dobrze schowany w czeluściach jego płaszcza .Na skrzyżowaniu ulic zatrzymały ich światła. Trzeba było chwilę zaczekać. Kuba wychylił się z bezpiecznego ukrycia. Wylazł na chodnik a później na ulicę. Jezdnia była zabłocona i śliska. Kuba stąpał ostrożnie i z gracją. W pewnym momencie jakby od niechcenia chwycił pecynę błota i rzucił wprost w policjanta po czym z najspokojniejszą miną skrył się pod palto swego pana.

Awantura niebywała. ,,Pan władza" poczuł się dotknięty w swej godności i począł energicznie poszukiwać sprawcy niesmacznego kawału. Wszystko skrupiło się na moim przyjacielu. Napróżno tłumaczył się, że to nie on winien a małpa, napróżno usiłował przytoczyć inne wybryki swego pupila. Sprawa skończyła się w Komisariacie, gdzie spisano protokół i trzeba się było potem długo i gęsto usprawiedliwiać z całej afery.

Nie wiem czy ta ostatnia sprawka czy może zbyt chłodny dla afrykańskiej małpy klimat Polski sprawił, że jednak Kuba został odwieziony do swej ojczyzny z powrotem.

Przyjaciel mój wyjeżdżał wtedy do Marsylii i miał nadzieję, że stamtąd uda mu się swego pupila odstawić do pobliskiej Afryki.

Spotkałem go po dłuższej nieobecności i zapytałem o Kubę.

— Mój Boże — powiedział z głębokim westchnieniem — nie możesz sobie wyobrazić co to stworzenie narobiło mi kłopotów jeszcze w drodze. Wkradł się w nocy do przedziału w pociągu sypialnym w którym spały jakieś dwie stare Niemki. Możesz sobie wyobrazić jakiego narobiły alarmu kiedy Kuba zbudził je z głębokiego snu. Zatrzymano pociąg, baby dostały histerycznego ataku a mnie z Kubą wysadzono na pierwszej stacji. Nie potrzebuję ci udawadniać, że nie był to jednak ostatni jego kawał. Po przyjeździe do Marsylii wyprawiłem więc Kubę możliwie najprędzej za morze. Ale wiesz — dodał po krótkiej przerwie — jednak mi go szczerze żal. Była to małpa z nadzwyczajną fantazją!

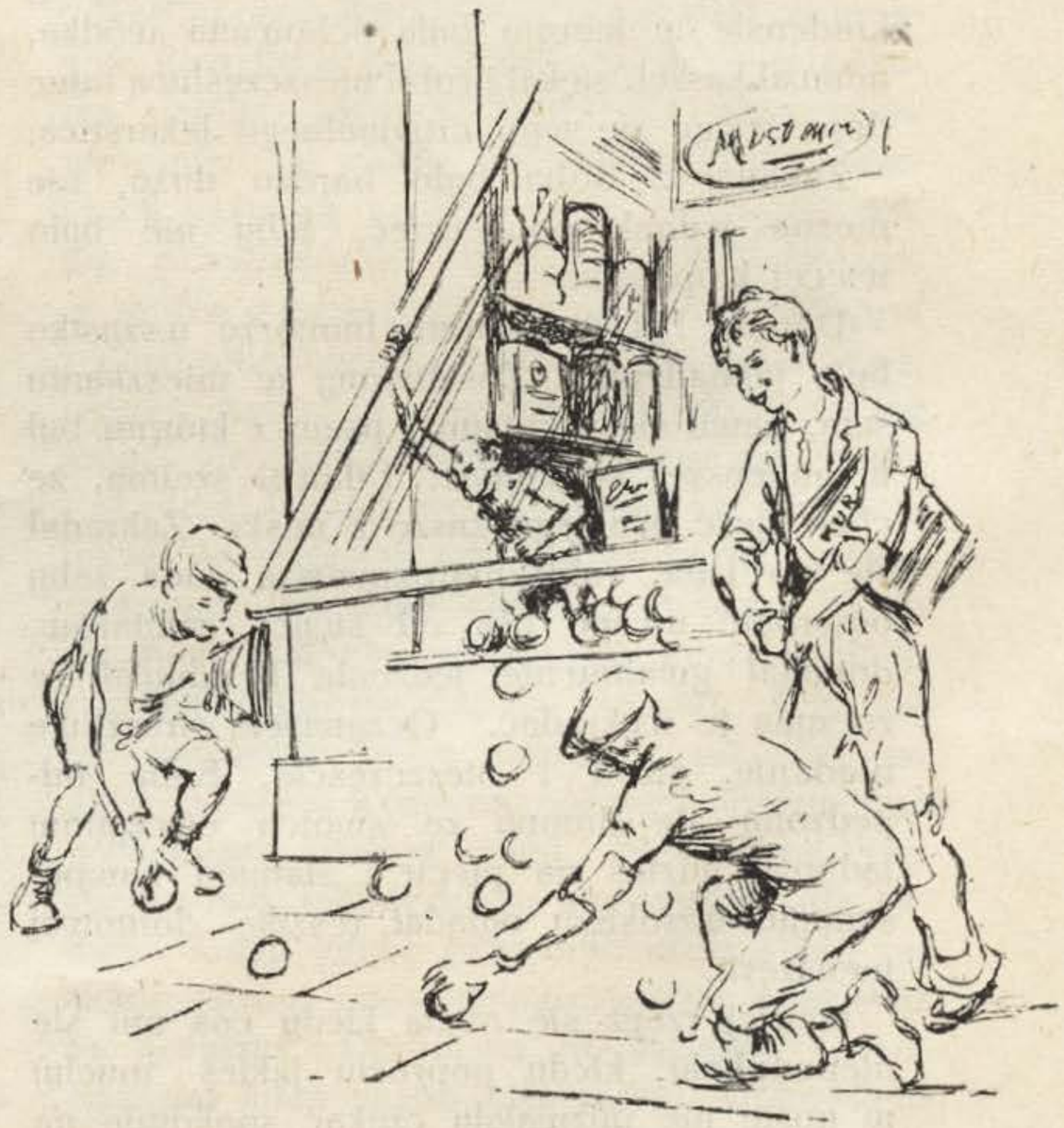

NWH archiwum

SCHILLER

tłom. MICKIEWICZ

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada;
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeciądze: ogromne lwisko
Zwolna się toczy;
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło;
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu.
Znowu przemknie się krata:
Szybkiemi skoki, chciwy połowu
Tygrys wylata.
Spoziera zdala,
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska,
I lwa dokoła obiega;
Topiąc wzrok jaszczurczy,
Wyje i burczy;
Burcząc, na stronie przylega.

archiwum

Król skinął znowu:
Znowu podwój otwarty:
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty,
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z niemi drapie,
Już obydwu trzyma w łapie:
Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał — i znowu cisza —
A dzicz z krwawemi pazury
Obiega, za mordem dysze,
Dysząc, na stronie przylega.

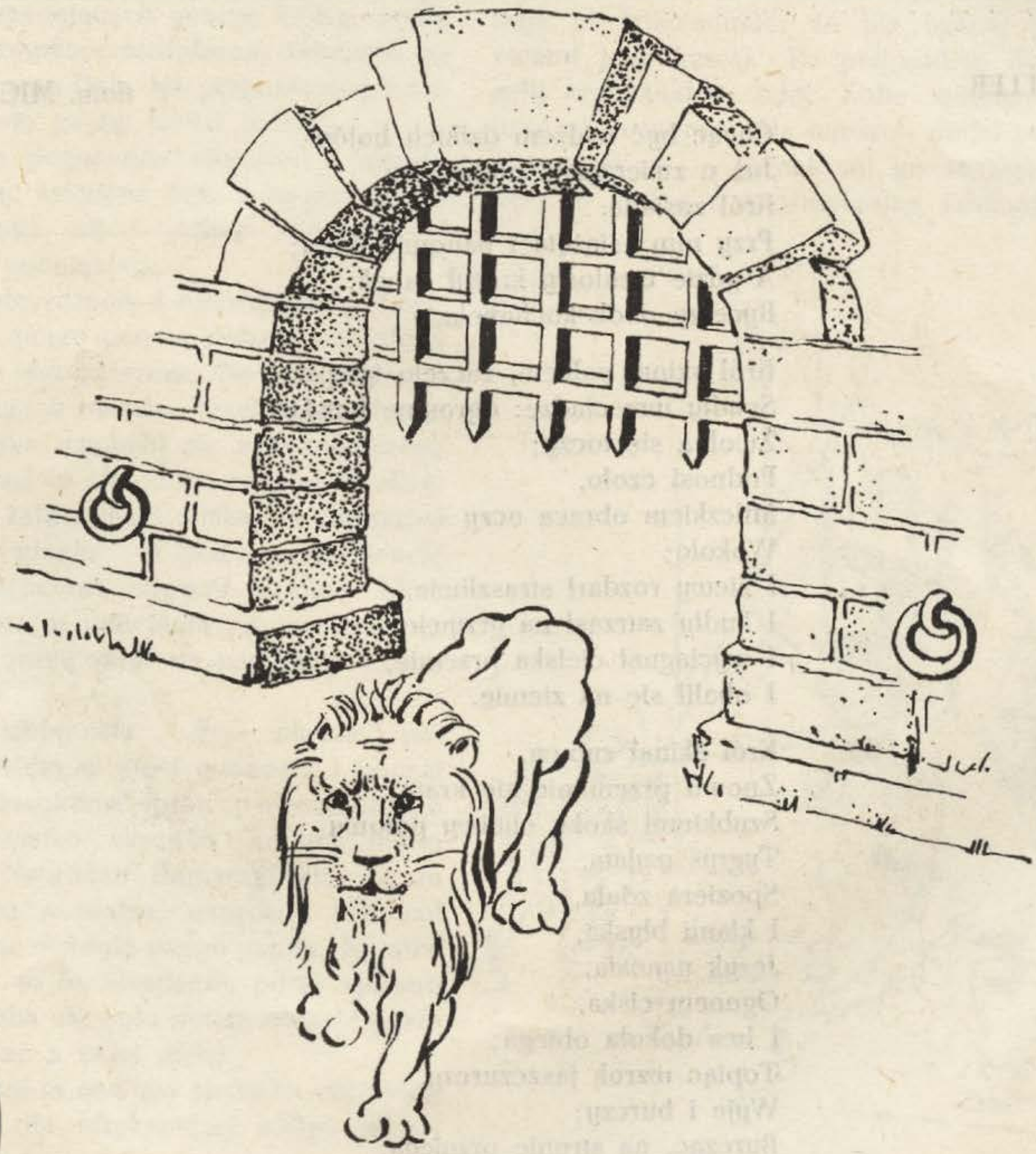

archiwum

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty
Na środek placu.

Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
"Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułemi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda".

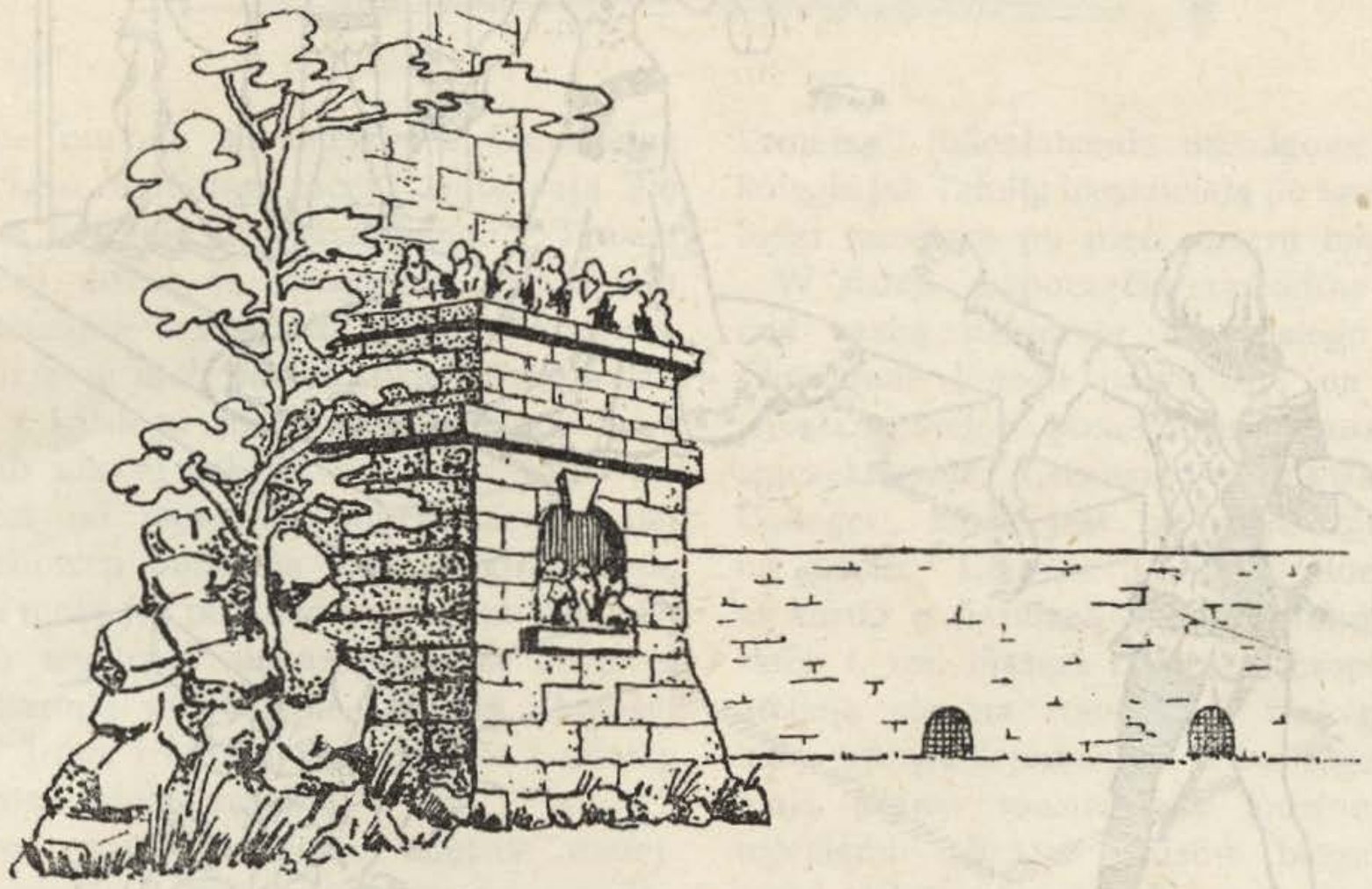

archiwum

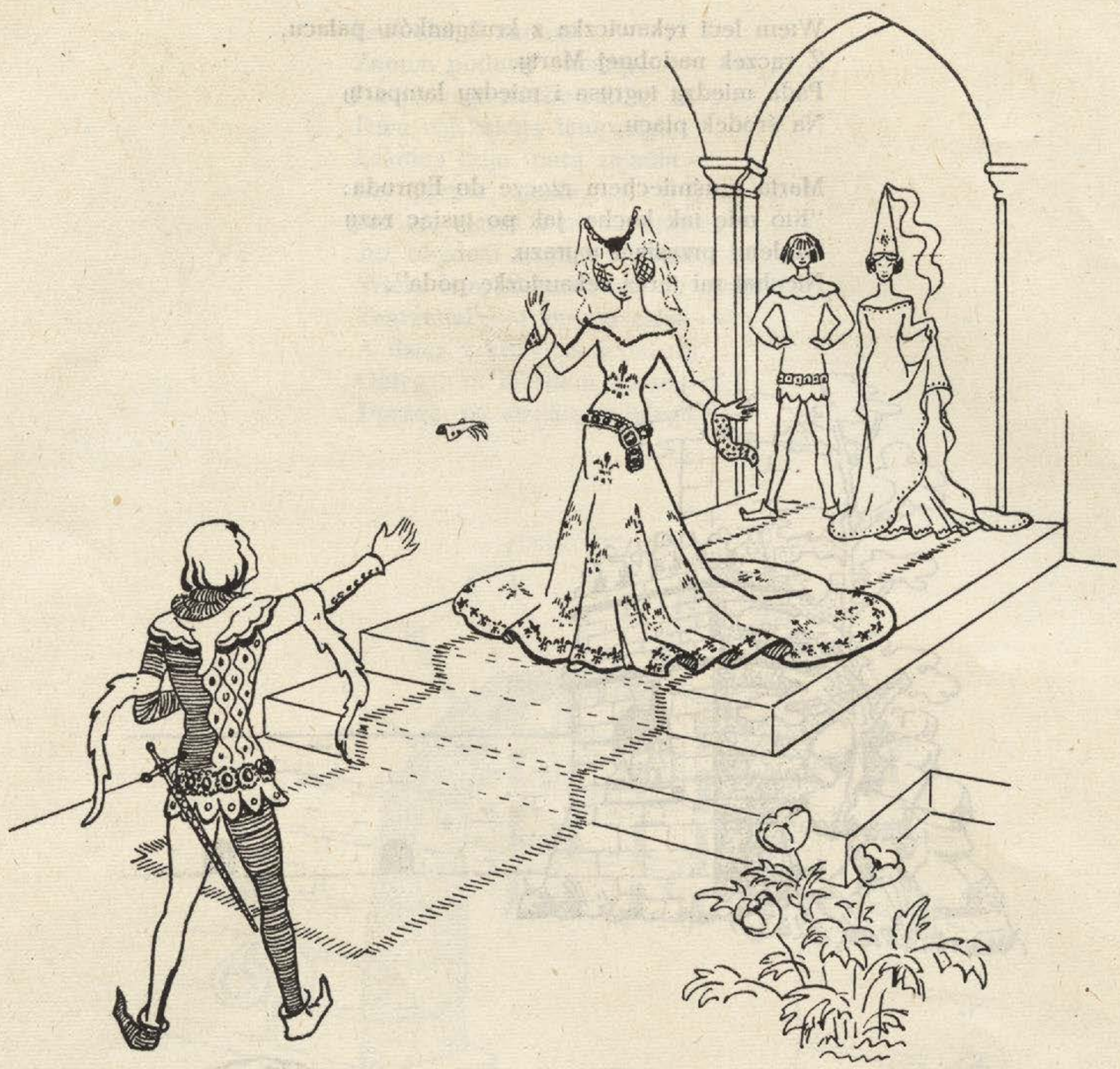

Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze;
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam, od radosnej witany kochanki,
Rycerz w jej oczy rękawiczkę rzucił:
"Pani, twych wdzięków nie trzeba mi wcale".
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

archiwum

PIOTR WANDYCZ

ZAWODY WIOŚLARSKIE W CAMBRIDGE

Zimowe zawody wioślarskie w Cambridge t. zw. "Lent bumping races" odbywają się w drugim terminie w końcu lutego. Trwają one cztery dni i są oczywiście ośrodkiem zainteresowania i rozmów całego Uniwersytetu. Bierze w nich udział kilkadziesiąt łodzi, po kilka z każdego kolegium podzielonych na cztery lub więcej sekcji. Kolejność łodzi zależna jest od wyników poprzedniego roku i jak fachowcy obliczają łódź znajdująca się na końcu może już po dwunastu latach ciągłych sukcesów wydostać się na pierwsze miejsce. Łodzie startują w odstępie półtorej długości jedna za drugą i łódź która dopłynie i uderzy poprzednią, czyli wykona t. zw. "bump", następnego dnia startuje o miejsce wyżej. Obie te łodzie, uderzająca i uderzana, schodzą natychmiast z rzeki, żeby nie przeszkadzać innym. Szczytem marzeń każdej ósemki jest zrobienie t. zw. "overbump'a". Polega on na uderzeniu łodzi, która znajduje się trzy miejsca wyżej, możliwe oczywiście tylko wtedy, kiedy dwie środkowe łodzie zejdą z rzeki po bumpie.

Ruch gorączkowy na rzece zaczyna się już na parę tygodni przed zawodami. Załogi biorące w nich udział mają surowo zabronione picie i palenie a trenerzy t. zw. coach'e nieszczędzą ostrej krytyki podczas wiosłowania. Wszyscy zaczynają studiować listę kolejności łodzi podczas zawodów, starają się podpatrzeć wady i zalety załóg, które są za lub przed nimi. Coach niby mimochodem sprawdza czas różnych łodzi podczas "padling firm" (normalne ćwiczebne wiosłowanie) i podczas "rowing" (wiosłowanie wyścigowe). Wielkie kolegia jak Trinity wystawiają po sześć, siedem łodzi mniejsze po pięć, cztery lub dwie.

W dzień rozpoczęcia zawodów pawilony nad rzeką nabierają uroczystego wyglądu. Chorągwie kolegii powiewają na masztach, wiosła są świeżo pomalowane, panuje nastrój wyczekiwania. Czerwono-czarna flaga "Jesus College", który jest na pierwszym miejscu na liście. Coach'e i organizatorzy ubrani w kurtki o barwach swoich klubów wioślarskich t. zw. blazers i okrągłe czapki dżokejki uwijają się na rowerach. Oni tylko poza kilku uprzywilejowanymi z każdego kolegium mają prawo towarzyszyć łodziom podczas wyścigów. Reszta widzów biegnie wzdłuż rzeki podniecając wiosłujących dzikimi okrzykami. Dzwonki, grzechotki, gwizdki, krzyki wszystko to potęguje jeszcze emocje wioślarzy, ubranych w białe shorty i białe koszulki z wypustkami w kolorach kolegium.

Dobrych, pracowitych i szczęśliwych wioślarzy czeka nagroda. Za cztery bumpy otrzymuje każdy swoje wiosło na pamiątkę. Łódź która płynie jako pierwsza, o ile zdoła utrzymać się na czele, zostaje uroczyście spalona, w czasach wojennych raczej symbolicznie. Ognie zostają rozpalone w zwycięskich kolegiach i w braku łodzi pali się co się da przy chóralnych krzykach wioślarzy.

START

Strzał z pistoletu. Mamy jeszcze minutę czasu. Coach stojący na brzegu patrzy na zegarek, jeszcze pięćdziesiąt sekund, jeszcze

archiwum

czterdzieści, trzydzieści... Łódka wypychana z brzegu powoli wysuwa się ku środkowi rzeki. Siedzimy pochyleni do przodu w pozycji gotowej do startu. Szybko sprawdzamy czy śruby przy podnóżku i przy riggerze są dociśnięte, kątem oka widzimy łódki za nami wysuwające się na rzekę. Tylko spokojnie, nie denerwować się. Coach liczy, 10 sekund, 9, 8. Jednak jak trudno jest się nie denerwować. Wiosło leży równo na wodzie, żeby tylko nie zanużyć go zbyt głęboko przy starcie. Nie patrzymy na brzeg a jednak czujemy oczy wlepione w nas, coacha, który liczy ostatnie sekundy, współtowarzyszy z kolegium którym oddaliśmy swetry i szale i kilku innych z innych college'y którzy patrzą na nas niezainteresowanym krytycznym wzrokiem. Czujemy lekki powiew wiatru i mimo woli myślimy czy jest dla nas przychylny. Pięć sekund, cztery, mocno zaciskamy ręce na wiosłach. Dzień jest słoneczny, woda niebieska, spokojna, wszystko to powinno dobrze wpłynąć na nasze wiosłowanie. Sekundy idą wolno a emocja rośnie coraz bardziej, 3 sekundy krzyczy coach, "tuch it bow". "Bow" nerwowo uderza wiosłem i wyprostowuje łódkę, 2 sekundy, 1, strzał. Trzask ośmiu wioseł o wodę, tylko nie odrywać oczu od wioseł, tylko nie patrzeć na łódkę za nami, jedziemy.

BUMP

Staramy się uderzać miarowo, nie spiesząc się do przodu. Uderzenie ma być długie, mocne odepchnięcie nogami, w ostatniej fazie wiosło powinno dochodzić do piersi. Trudno myśleć o tym wszystkim na raz. Na brzegu hałas i wrzask. Biegnący wzdłuż brzegu widzowie krzyczą, zachęcają, wymyślają. Nie odrywać oczu od wiosła, skupić się na mocnym uderzeniu, ręce i nogi są już trochę zmęczone. Zerkamy na łódkę z tyłu. Jest daleko za nami, nie dogoni nas tak prędko. Można wiosłować spokojniej z przekonaniem, że dopędzimy tamtą przed nami. Czujemy raczej niż widzimy, że zbliżamy się do pierwszego zakrętu. Coach na brzegu krzyczy, ale głos jego ginie w ogólnej wrzawie. Teraz kolej na sternika. Krzyczy żeby się zebrać na dziesięć mocnych uderzeń, że już blisko 1, 2, 3. Na brzegu słychać urywany gwizd, co to znaczy, acha, zbliżyliśmy się na jedną długość do tamtych. Jeszcze trochę mocnych uderzeń, trudno złapać oddech. Znowu gwizd tym razem długi, już tylko pół długości od nich. Wrzask na brzegu coraz głośniejszy, sternik zaczyna znowu liczyć do dziesięciu "give them a ten boys". Na brzegu dzwonek, urywany gwałtowny dzwonek wybijający się ponad krzyki, dzwonki rowerów i gwizdy. To znaczy że już jesteśmy bardzo blisko. Jeszcze kilka mocnych uderzeń. W hałasie na brzegu wydaje się nam, że odróżniamy krzyki "easy cox" to do sternika żeby dał sygnał do przerwania wiosłowania. "Easy oars" wrzeszczy sternik a potem "hold her". Najwyższy czas, uderzyliśmy łódkę przed nami i teraz samym rozpędem wpychamy ją na brzeg. Sternik tamtej łódki opuszcza rękę którą podniósł na znak że zostali uderzeni. Oddychamy głęboko.

WIOSŁOWANIE JEST CIĘŻKĄ PRACĄ.

Śnieg, mokry, drobny śnieg zasypuje nam oczy. Wiatr dmie i kostniejemy z zimna. Polska część obsady łodzi wymyśla swoim angielskim kolegom. "Co wy macie za klimat". Anglicy próbują się bronić, że w Polsce to w zimie podobno jeszcze zimniej, ale po naszym argumencie, że to prawda, ale w Polsce nie znalazło by się tylu idiotów, którzy by wiosłowali w zimie, poddają się i marzniemy wspólnie. W łódce wszystko mokre, siedzenie, wiosła, ręce ślizgają się po nich. W ostatniej chwili zdejmujemy swetry na wyraźny rozkaz coach'a i czekamy na moment startu trzęsąc się z zimna. Wreszcie pada strzał i ruszamy. Ruszamy szybkim startem w który wkładamy maksimum energii. Może uda się nam złapać ich prędko i potem do domu. Na brzegu hałas i krzyki, jesteśmy już do nich przyzwyczajeni czwartego dnia zawodów. Rzucamy prędkie spojrzenie na łódkę za nami, wszystko w porządku jest w przyzwoitej odległości z tyłu. Skupiamy się cali na wiosłowaniu. Jest nam już teraz bardzo ciepło tylko ręce zdrętwiałe są z zimna. Na brzegu słychać gwizdek, jesteśmy już o jedną długość za niemi i wiosłujemy zawzięcie czekając na następne sygnały że się zbliżamy. Mijamy pierwszy zakręt, oddech

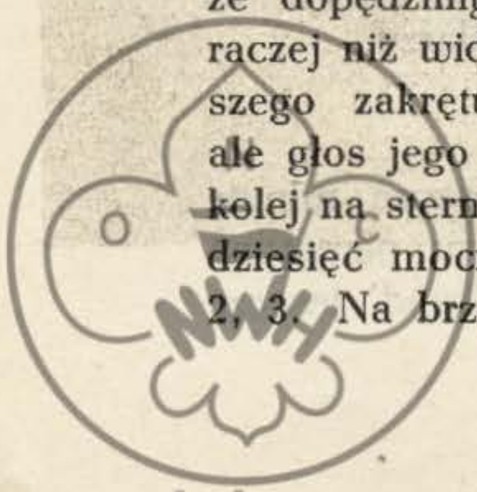

staje się coraz krótszy, wiosła w skostniałych rękach wydają się ciężkie, zbyt ciężkie żeby nimi ruszać. Jesteśmy już w połowie trasy, krzyki na brzegu wzmagają się, sternik wywrzaskuje ponawiane dziesiątki. Wszystko zlewa się w jeden hałas, krzyk sternika i tych z brzegu, i okrzyki sternika z łódki którą gonimy. Ruchy robimy mechanicznie, nie czując już nic poza zmarzniętymi palcami. Wydaje się, że jedziemy wieki; coach znowu gwiżdże na brzegu, znowu mocniejsze uderzenia, wydaje się że to już ostatnie na jakie nas stać, już poprostu nie możemy dłużej. I znowu niema dzwonka a tylko krzyki zachęcających z brzegu. Kapitan klubu wioślarskiego wiosłujący jako "dwójka" zdobywa się na wysiłek i krzyczy zachrypniętym głosem "come on boys w'll get them". Już coraz trudniej złapać oddech, ręce i nogi omdlewają, widzimy że jesteśmy prawie przy samym końcu trasy, jeszcze ostatni wysiłek i słyszymy „easy oars." Nie dogoniliśmy ich. Wszyscy wyczerpani walą się na wiosła, patrzymy z ukosa na łódkę St. Catherine College, którą goniliśmy tak uparcie. Oni też ledwo dyszą. Ktoś woła do nich z naszej łódki "well rowed Caths". Uśmiechają się zbyt zmęczeni aby odpowiedzieć. Śnieg z deszczem zaczyna znów padać.

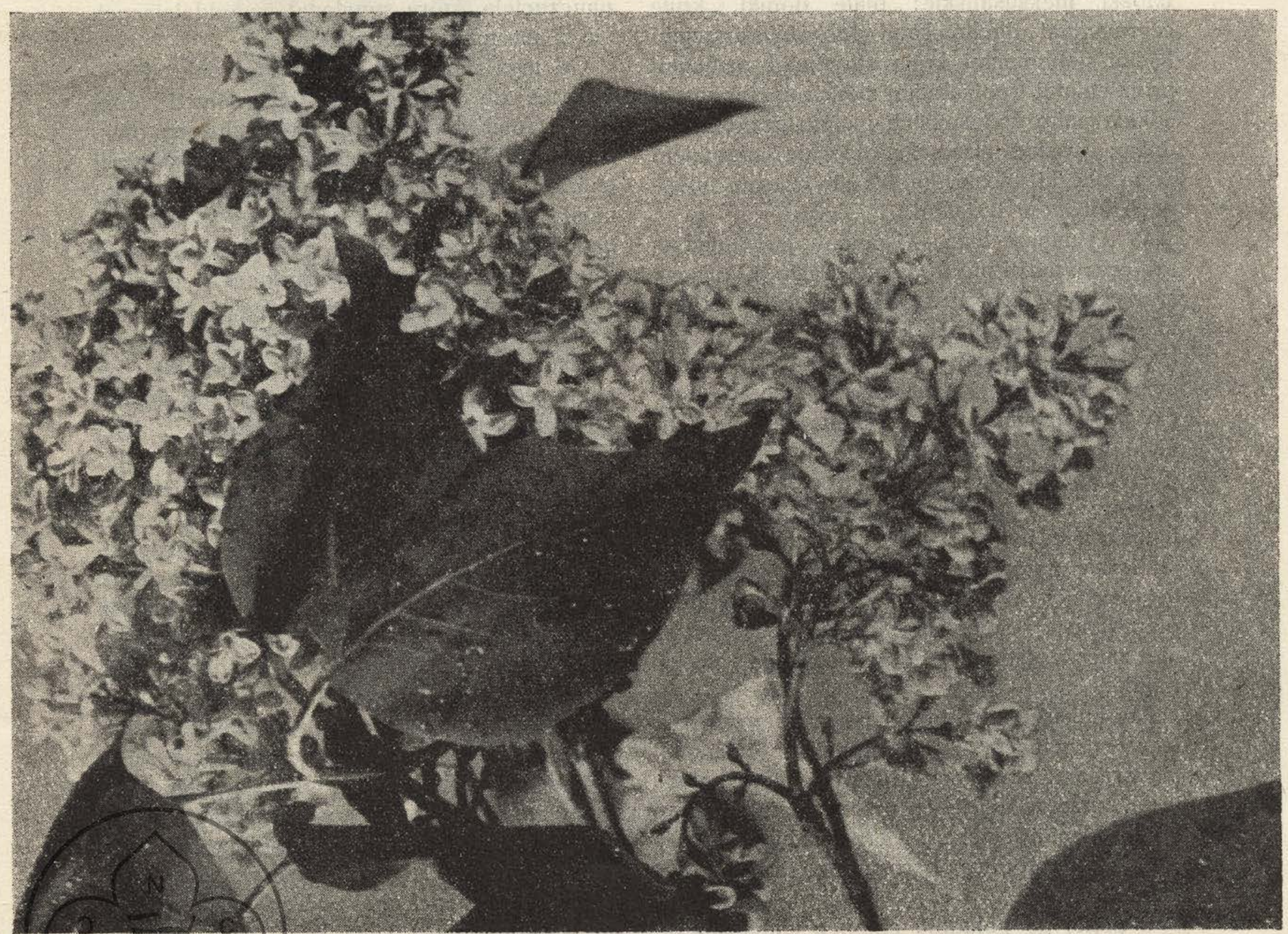

WIOSNA — BZY KWITNĄ. . .

NWH archiwum

dobry przykład działa cuda

W gótach Sierra Madre, w południowej części republiki meksykańskiej, wśród dzikich wodospadów, których wody giną w Pacy, fiku, leży wioska — taka jak wszystkie górskie wioski meksykańskie: białe domki, kryte czerwonymi dachówkami lub błyszczącymi liśćmi palmowymi kryją się przed palącymi promieniami tropikalnymi słońca w cieniu wysokich palm kokosowych i gigantycznych cedrów; wąskie strumyki obiegają wężykiem kręte uliczki wioski, gubiąc się czasem w kępach kwiatów i zieleni.

W tej wiosce była — i pewnie jest dotąd — szkółka; rządził nią w owym czasie p. Łukasz, szanowany przez wszystkich sąsiadów i kochany przez wszystkie dzieci. Nigdy go nie brakło o ustalonej porze przy wypełnianiu swych ciężkich i nudnawych obowiązków. Cóż za powołanie męczenników mają nauczyciele wiejskich szkółek!

Według tradycyjnych zwyczajów tamtych czasów, choć to było niedawno, nauka odbywała się jak w chórze — sylabizowanie, tabliczka mnożenia i katechizm, wszystkie te mądrości wchodziły dzieciom do głowy przy pomocy śpiewania ich na różne tony, ale zawsze jednakowo, rozpaczliwie monotonnie.

Pan Łukasz znosił tę codzienną operę z heroiczną rezygnacją i cierpliwością; zdarzało się czasem, że dzieciaki, wpadając w entuzjazm, wrzeszczały jeden przez drugiego, kogo będzie lepiej słychać? Trzeba było wtedy widzieć dobrotliwą i rozumną twarz pana Łukasza...

— O piątej po południu chłopcy wybiegali ze szkoły i — jak to chłopcy wszystkich czasów i na całym świecie — rzucali kamieniami do celu, ciągnęli wiejskie kundle za ogony, wydawali dzikie okrzyki i gwizdy, ale wszystko to już poza zasięgiem rózgi ich dobrodusznego nauczuciela, który spoglądał na oddalających się z westchnieniem ulgi.

Od tego momentu pan Łukasz należał całkowicie do siebie: wyciągnął przed dom wielki fotel trzcinowy, a mały służący przynosił mu filiżankę czekolady i duży kawał chleba; odpoczywał tak na wietrze, który niósł świeży powiew od lasów i chłodził łysą głowę nauczyciela, podczas gdy sam dzielił się swym podwieczorkiem z papugą. Tak, bo pan Łukasz miał papugę, i była ona jego słabością; papuga zwykle siedziała na drążku we drzwiach szkoły — naturalnie, na odpowiedniej wysokości, by chłopczyska nie wydzierały jej piór z ogona; daszek z liści palmowych chronił ją od słońca.

Pan Łukasz i owa papuga rozumieli się i pasowali do siebie doskonale. Rzadko mieszała ona swoje lepiej lub gorzej słowa wyuczone z wrzaskliwym chórem dzieciarni. Ale kiedy szkoła pustoszała i pan Łukasz siadał przed domem popijać swoją czekoladę, dwaj przyjaciele pozwalali sobie na okazywanie wzajemnego przywiązania. Papuga wyczyczyniała przedziwne koziołki na swym drążku, plotąc co umiała i czego nie umiała; z zadowoleniem czepiała się dziobem patyka obejmując go pazurami i potem z głową nadół chwytała dziobem kawałki chleba maczane w czekoladzie, które z ojcowską czułością podawał jej pan Łukasz. Tak było każdego po południa przez kilka lat.

Pan Łukasz nabrał wielkiego zaufania do

NWH archiwum

papugi, którą chłopcy przezwali „Periko", i ani jej nie przycinał skrzydeł, ani nie nakładał na nogę łańcuszka.

Jednego ranka, może była dziesiąta, chłopiec, który przypadkiem był poza klasą, zawołał z przerażeniem:

— Proszę pana nauczyciela, Periko ucieka! —

W mgnieniu oka nauczyciel i cała dzieciarnia znalazła się u drzwi i okien klasy. Rzeczywiście, w oddali, niby grudkę zielonej emalii błyszczącą w płomieniach słońca, widać było nieudzięczne ptaszysko, które co sił w skrzydłach leciało w kierunku pobliskiego lasu.

Wszelka pogoń była bezcelowa, bo gdyby nawet można było ptaka w lesie pochwycić, to jak odróżnić Periko w tłumie innych papug, które tłumnie zamieszkują tamtejsze lasy?

Pan Łukasz westchnął smutnie:

— Niech się dzieje wola nieba... — i wrócił na swoje miejsce, a monotonne dukanie sylab słychać było znowu, jakby nic się stało.

Minęło wiele miesięcy i nadeszły wakacje. Pan Łukasz zapomniał nareszcie o niewdzięczności papugi. Jednego dnia postanowił wybrać się do jednej z okolicznych wiosek w odwiedziny do przyjaciół. Wczesnym rankiem okulbaczył swego konia, zjadł lekkie śniadanie i wyjechał ze wsi, żegnając uprzejmie spotkanych na ulicy sąsiadów.

W tym kraju najbliższe sobie wsie dzieli odległość kilkunastu mil, toteż pan Lukasz większą część dnia musiał spędzić na koniu. Była już druga po południu; z nieba płynęły strumienie żaru; najlżejszy wiaterek nie poruszył liści palm, które na tle błękitnego nieba rysowały się nieruchomością drzewa wykutego z metalu. Ptaki zamilkły ukryte wśród listowia i tylko pasikoniki uparcie wygrywały wśród tej południowej ciszy. Koń pana Łukasza posuwał się otępiały, podzwaniając kopytami z niezmienną regularnością zegarowego wahadła.

Nagle wydało się jeźdźcowi, że słyszy w oddali pośpiewywanie dzieci w szkole, kiedy uczą się sybalizować. Zrazu myślał, że to złudzenie wywołane upałem — tak, jak cierpiący na zawroty głowy słyszą w pierwszej chwili bicie dzwonów; w miarę jednak, jak się posuwał naprzód, pośpiewywanie zbliżało się coraz wyraźniej — z całą pewnością była to szkoła w sercu opustoszałego lasu.

Zatrzymał pan Łukasz konia, zaniepokojony i zdziwiony, gdy nagle z pobliskich drzew zerwała się wielka papuzia banda, która wyśpiewywała miarowo:

ba, be, bi, bu, . . .
la, le ,li, lu, . . .

a za nią, machając skrzydłami z wielką godnością, leciała jedna papuga; przelatując blisko ramienia osłupiałego nauczyciela, odwróciła zieloną głowę i spoglądając figlarnie złotawymi oczami, rzuciła papuzim głosem ludzkie słowa:

— Panie Łukaszu! ja też mam szkołę!... —

Odtąd papugi w tej okolicy, wyprzedzając o cały wiek wszystkie inne papugi na świecie, znane są z zaciętej walki przeciw nieuctwu i zacofaniu.

Przerobiła: *Zofia Snawadzka.*

archiwum

Czy oglądając filmy amerykańskie, odnosicie czasem to samo co i ja, dziwne napozór, wrażenie, że czegoś tym filmom brakuje? Napozór nie tylko im niczego nie brakuje, ale przeciwnie, wszystkiego jest w nich trochę za dużo: za dużo olśniewających sukien i strusich piór, za dużo gangsterów, policjantów, tlenionych blondynek, amerykańskich sztandarów, śpiewania, wszystkiego.

A jednak, kiedy się zobaczy któryś ze starych, świetnych filmów francuskich, jak naprzykład film ,,Śmierć Łabędzia", wyświetlany teraz w Londynie, albo któryś z dobrych filmów angielskich — widzi się jasno, że chociaż technicznie filmy amerykańskie stoją nieraz na dobrym poziomie, przecież im czegoś brakuje.

Czasem mi się wydaje, że im brakuje myśli przewodniej. Po obejrzeniu zaś ,,Śmierci Łabędzia" doszedłem do wniosku, że różnica między tym filmem francuskim, a którymkolwiek z dobrych filmów amerykańskich polega na tym, że ,,Śmierć Łabędzia" jest dziełem sztuki; film amerykański w najlepszym wypadku zaciekawia i przejmuje; ,,Śmierć Łabędzia" — zachwyca; film amerykański nie ma ambicji większych niż dostarczenie dobrej rozrywki; film francuski stara się odtwarzać prawdę życiową, stara się chwytać życie na gorącym uczynku i odtwarzać te schwytane fragmenty życia w formie takiej, która działała by na poczucie piękna widzów. Filmy amerykańskie produkowane są na wielką skalę, masowo. Francja nie ma takich możliwości technicznych, więc ilość produkowanych przez nią przed wojną filmów była bez porównania mniejsza niż ilość filmów, wypuszczanych przez Hollywood. Ale jakość?

Kto lubi balet, niech się koniecznie postara zobaczyć ,,La Mort du Cygne" (Śmierć Łabędzia), ale ktoś kto baletu nie lubi też się na tym filmie nie wynudzi. A kto widział francuski film, wyprodukowany w czasie okupacji niemieckiej, film pod nazwą ,,My, dzieci" (,,Nous, les gosses")? Jest to historia bandy chłopaków, z których jeden zbił szybę w szkole, przy sposobności mianowicie gry w football. Dyrektor szkoły każe mu zapłacić za tę szybę sporo pieniędzy i cała banda zabiera się w czasie wakacji do pracy, postanowiła bowiem zarobić tę sumę. Zdobywają się oni na pomysły tak niezwykłe i tak zabawne, że przez przeszło godzinę zaśmiewałem się naprawdę bez przerwy.

Byłoby dobrze, gdyby czytelnicy naszego pisemka we Francji i gdzie indziej napisali do mnie o filmach, które ostatnio widzieli, o czym te filmy były i jak im się podobały. Adres pisemka znajdziecie na ostatniej stronie. Chętnie wydrukujemy Wasze listy i w ten sposób czytelnicy nasi w innych krajach dowiedzą się, jakie stare i nowe filmy grane są teraz w kinach na szerokim świecie.

W Londynie wyświetlają też teraz film produkcji szwajcarskiej, nazywa się ten film ,,Ostatnia szansa" (Last Chance). Treścią tego filmu są przeżycia grupy uchodźców, którzy starają się z Włoch przedostać do Szwajcarii. Naokoło szaleje wojna. Uchodźcami zaopiekowali się dwaj oficerowie angielscy i jeden amerykański, którzy też dążą do Szwajcarii. Zdjęcia, dokonane w górach są naprawdę bardzo piękne i piękne są także te momenty, kiedy brodzący w śniegach uchodźcy pomagają sobie nawzajem i gotowi są życia ryzykować w obronie innych, chociaż ci inni to zupełnie obcy ludzie. Wielu Polaków miało w czasie tej wojny podobne przeżycia, wielu przechodziło nocami przez Karpaty albo przez Pireneje i wiedzą oni dobrze, że się takie rzeczy zdarzają. I chociaż tyle jest teraz zła i krzywdy ludzkiej na świecie, filmy takie jak ,,Ostatnia Szansa" przypominają nam, że jednak człowiek podaje człowiekowi rękę w obliczu niebezpieczeństwa i podnoszą widza na duchu.

archiwum

WIEŚCI HARCERSKIE

VI Światowe Jamboree.

We Francji czynione są przygotowania do VI Światowego Jamboree, które odbędzie się w Moisson pod Paryżem w sierpniu 1947 r. Będzie to Jamboree de la Paix — Jamboree Pokoju. Już dziś wszystkie organizacje skautowe świata zostały zaproszone do wzięcia udziału w tej wielkiej manifestacji skautowego braterstwa międzynarodowego. Organizacja Jamboree powierzona została specjalnie w tym celu utworzonemu stowarzyszeniu „L'Association du Jamboree", którego biura znajdują się pod adresem: 142, rue du Bac, Paris VII. Przewidywany jest zjazd dwudziestu tysięcy Skautów. W celu nawiązania jaknajbliższych kontaktów między skautami gośćmi, a skautami francuskimi l'Association du Jamboree organizuje t. zw. „Piętnaście dni gościnności francuskiej", podczas której uczestnicy Jamboree będą mogli spędzić piętnaście dni we Francji, mieszkając u rodzin francuskich, lub też w obozach harcerskich organizowanych przez prowincje francuskie.

Zlot w Szwecji.

W lipcu 1946 r. skauting szwedzki organizuje Zlot Międzynarodowy w „Granso". Protektorat mad Zlotem objął książe Gustaw-Adolf. Przewidywany jest udział 9 tysięcy skautów. Program obejmuje wspólne ogniska i pokazy. Organizatorzy Zlotu starają się przeznaczyć jak najwięcej czasu na życie obozowe, sporty i wycieczki.

Zlot polskiej młodzieży harcerskiej w Fuldzie.

Chorągiew Harcerska „Bałtyk" uczciła Dzień Myśli Braterskiej zlotem młodzieży harcerskiej w Fuldzie. Zamiast spodziewanych 400 osób przybyło na zlot około 1500 harcerek i harcerzy. Zorganizowano Akademię ku czci Twórcy Skautingu gen. Baden-Powella i uroczysty „Kominek" urozmaicony tańcami, śpiewami i deklamacjami. W zlocie wzięły udział delegacje skautów łotewskich, litewskich i estońskich.

Harcerski rekord alpinistyczny.

W dniu 25 stycznia 1946 r. wyprawa harcerska w Afryce w składzie hm. W. Szyryński i ćw. St. Czerniak z przewodnikiem osiągnęła wierzchołek Kibo, wyższy szczyt Kilimandżaro, wchodząc na stożek Gillmana 3850 m. i lodowiec Ratzela, gdzie wpisano się w księgę zdobywców stożka. Ćw. St. Czerniak, mający lat 16 jest najprawdopodobniej najmłodszym zdobywcą wierzchołka Kibo. Prawdopodobnie też jest to harcerski rekord alpinistyczny wysokości.

archiwum

Odważny skaut.

Za odwagę i pogodę podczas długiej choroby, która spowodowała konieczność całego szeregu operacji 13-to letni skaut Roy Stanley Dodgson z 61 Drużyny Skautowej w Southport został odznaczony wstęgą skautową „Corwell". Roy przez dziesięć miesięcy leżał w szpitalu i swą postawą wzbudził zachwyt doktorów i sanitariuszek. Jedna z sanitariuszek powiedziała: „Roy jest pacjentem, który pomaga nam w naszej pracy, która staje się jakby lżejsza i łatwiejsza". Burmistrz Southport, który kilkakrotnie odwiedzał chorego stwierdził, że ma podstawy, aby być z niego dumnym i wyraził nadzieję, że przykład, jaki on daje, będzie cenny dla wszystkich skautów.

Myślałem, że po moim wezwaniu w ostatnim numerze naszego pisma zostanę zasypany takim gradem listów, że ledwie się będę mógł wygrzebać z pod góry miłej poczty z całego świata. Tymczasem jak dotychczas otrzymałem zaledwie trzy cienkie liściki i to wszystkie z Francji. A gdzie Niemcy, Indie, Afryka, Meksyk i choćby sama Anglia? Rozumiem, że poczta nie wszędzie chodzi zbyt pośpiesznie, rozumiem też, że nie wszyscy mają coś do napisania i nie wszyscy lubią pisać, ale myślę, że przecież za każdym razem więcej będzie takich, którzy do Puchacza przyjemne, ciekawe i pełne zapytań listy wykoncypują.

Do wszystkich tych, którzy dotychczas do mnie napisali piszę oddzielnie pocztą.

Teraz do pytań, które Wam podałem w poprzednim numerze dodam następujące:

1. Co się Wam podoba i co nie podoba w naszym piśmie?
2. Jakie artykuły podobają się Wam najbardziej?
3. Czy uważacie, że „Świat Młodych", bo tak w przyszłości będzie się nazywało nasze pismo, jest dobrym tytułem?

Nie namyślajcie się długo nad odpowiedzią, chwytajcie zaraz za pióro, lub ołówek i piszcie. Nie zapominajcie jednak, że koperta do mnie **musi** zawierać przez Was narysowany znak Puchacza!

WASZ

archiwum

Zdjęcia które reprodukujemy obok pochodzą z Niemiec i są zrobione podczas Zlotu jednej z Chorągwi tamtego terenu.

Jak widzicie życie zlotowe było urozmaicone i bujne. Uśmiechnięte po harcersku twarze, dobre apetyty przy śniadaniu, dobrze sformowana grupa udająca się na ćwiczenia wreszcie robiące poważne i miłe wrażenie wieczorne ognisko, pozwalają przypuszczać, że obozowisko harcerskie było rzeczywiście przeżyciem bardzo miłym i pozostawiającym niezatarte wrażenie.

Będziemy się starali w każdym numerze "Wieści Młodych" podawać jaknajwięcej fotografji i opisów przejawów życia młodzieży harcerskiej i nie-harcerskiej na całym świecie. Przysyłajcie nam tylko możliwie najwięcej materiałow. W każdej zbiórce i wycieczce może być ciekawy moment opiszcie go i prześlijcie Redcji!

Nie zapominajcie tylko podpisać zdjęć, podać danych kogo dotyczą kiedy i przez kogo były zrobione. Za najlepsze zdjęcia Redakcja chętnie przeznaczy nagrody w postaci książek.

W tym numerze znajdziecie zdjęcia z Francji i Niemiec, ale już niedługo i bardziej odległe tereny też zapewne się odezwą.

NWH archiwum

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Z pierwszych liter imion, oraz nazwisk na biletach wizytowych odgadnąć zawód każdego z tych panów.

KRZYŻÓWKA GEOGRAFICZNA.

W pionowe rzędy 1,2,3, ustawić 3-literowe słowa, i w środkowym rzędzie pionowym dopisać 2 litery brakujące, tak, aby w tym rzędzie odczytać nazwę wielkiej rzeki w Polsce.

ZNACZENIE SŁÓW.

1. imię matki rodu ludzkiego.
2. owad podobny do pszczoły.
3. krab jadalny.

Ułożyć z tych sylab pierwszą strofę znanego wiersza. Kto jest jego autorem?

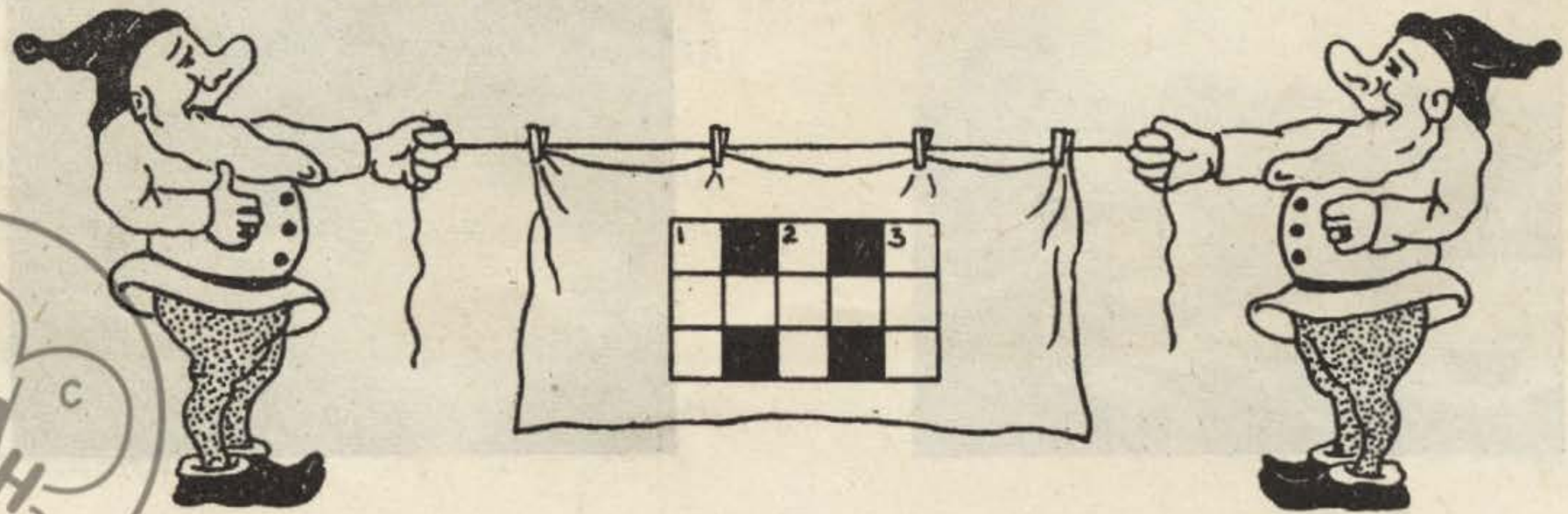

archiwum

ZUCH

DODATEK DLA DZIECI

archiwum

wrona bez ogona

Po pustym zagonie chodzi smutna wrona,
Dziwicie się wronie, czemu bez ogona?
Zaraz wam opowiem jej krótką przygodę,
niech każdy się dowie jak poniosła szkodę.
Na puste zagony z tej wysokiej jodły
zleciały dwie wrony i spór z sobą wiodły:
— Ja jestem mądrzejsza, przez matkę uczona!
— Ja jestem czarniejsza, urodziwa wrona!
— Ja mam piękny ogon!
— A ja zgrabniej chodzę!
— O, proszę ja kogo!
Biją się na drodze,
a lisek tymczasem,
pełen apetytu,
czai się od lasu...
Cap! Już zdobycz chwyta...
Zanim z wielką trwogą
dwie kłótliwe wrony
frunęły w dwie strony —
wyrwał jednej ogon!
Taki był wypadek
(mówił mi kruk świadek).
Teraz smutna wrona,
bo nie ma ogona.

archiwum

Kaczorek Kwaczorek

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Powiadała czarna kwoczka,
Kryjąc w puchy stadko kurze:
— Czym będziecie, moje dziatki,
kiedy wyrośniecie duże?
— Ja chcę znosić, jak ty, jajko.
— Ja chcę szukać, jak ty, ziarek.
— Ja chcę urość, ale nie chcę
żeby mnię wsadzili w garnek.
— Ja chcę budzić ze snu słonko,
piejąc ślicznie mu nad ranem.
— A ja — wodzić za nos kwoczki
i być kurzym kapitanem. . .

archiwum

Słucha kwoczka, gderze, gdacze,
lecz pochwala kurząt plany:
— No, a czemże ty zostaniesz,
ty Kwaczorku nieudany?
— Ja żeglarzem chcę być, mamo,
i po falach mknąć, jak łodzie.
— Koko, koko ! Gwałtu — rety!
Zginiesz w tej paskudnej wodzie.
Nie gdacz próżno, biedna kwoczko.
To się nigdy nie przydarza,
by odstraszyć od pływania
czy kaczorka, czy żeglarza!

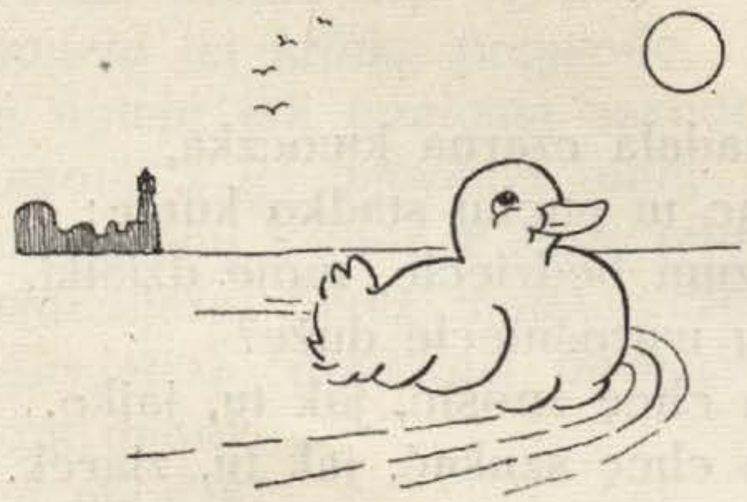

Bajka o Złotowłosce i Niebieskooczce

Na końcu jednej wsi mieszkały w małej chatce dwie sierotki jednolatki: Złotowłoska i Niebieskooczka. Chatka ich stała na skraju dużego, ciemnego lasu. W głębi tego lasu, w zapadłej, niskiej lepiance mieszkała jakaś samotna staruszka. Była ona bardzo, bardzo stara. Mówiono o niej, że jest wróżką i że umie przemieniać ludzi w co tylko zechce.

Jednego dnia obie dziewczynki, Złotowłoska i Niebieskooczka, siedziały na progu swej chatki. Smutno im było. Siedziały i rozmawiały o tym, co one mogłyby zrobić, ażeby na świecie było weselej. Długo o tym rozmawiały i rozmyślały, ale nic im na myśl nie przychodziło. Bo i cóż takie małe dziewczynki mogły by zrobić.

NWH archiwum

Po długim namyśle Złotowłoska rzekła do Niebieskooczki: — Wiesz co, chodźmy do tej wróżki w lesie i zapytajmy ją, co mogłybyśmy zrobić. Ona jest przecież bardzo mądra i napewno nam poradzi. — Dobrze — odrzekła Niebieskooczka. I poszły.

Dzień był upalny, a droga do wróżki daleka i uciążliwa. Ale Niebieskooczka i Złotowłoska niczem się nie zrażały. Wąską drożyną przedzierały się przez gąszcz leśny, chociaż kłujące gałęzie drapały je po twarzach i rączkach, a ostre, sterczące kamienie raniły im nóżki. Tylko od czasu do czasu przysiadały na chwilkę, by odpocząć. I znowu szły dalej. Po jakimś czasie zrobiło się w lesie zupełnie ciemno. Wtedy śliczny, złoty księżyc wypłynął na niebo i pokazywał dziewczynkom dalszą drogę.

Późno już było, kiedy Złotowłoska i Niebieskooczka zaszły do lepianki. Na progu lepianki stała wróżka, jakby na nie czekała. Była ona taka zgarbiona i taka pomarszczona, że dziewczynki się jej przelękły i nieśmiały się odezwać.

Wreszcie odważniejsza Złotowłoska przemówiła do nie: — Słyszałyśmy, że jesteś bardzo mądra i przyszłyśmy zapytać się ciebie, do mogłybyśmy zrobić, żeby na świecie było weselej. — Tylko pozwól zostać razem ze sobą — dodała nieśmiało Niebieskooczka.

Wróżka uważnie popatrzyła na dziewczynki i otworzyła drzwi, aby je wpuścić do lepianki. A księżyc oświetlił jej twarz i widać było że się wróżka jakoś dziwnie uśmiecha. Po chwili wróżka wraz z dziewczynkami zniknęła gdzieś za drzwiami w głębi lepianki.

Odtąd już nigdy więcej nie widziano we wsi Złotowłoski i Niebieskooczki. Ale kiedy nazajutrz rano dzieci wybiegły ze swoich chat i spojrzały na łąki, jakże się uradowały, jak cieszyć zaczęły. Bo przez tę noc wszystkie łąki dokoła pokryły się ślicznymi złotymi jaskrami i niebieskimi niezapomanajkami. Złotymi, jak włosy Złotowłoski, Niebieskimi, jak oczy Niebieskooczki. Starzy ludzie mówią, że kwiatki, gdyby mówić umiały, mogłyby opowiedzieć, co się stało z dwiema sierotkami, Złotowłoską i Niebieskooczką, w ową noc księżycową.

NWH archiwum

ZUCHY . . .

W Niemczech, w obozach polskich ruch zuchowy cieszy się ogromną popularnością wśród szerokich mas najmłodszego pokolenia.

Tak jak dawniej w Polsce, pod kierownictwem swych Wodzów młodzi chłopcy i dziewczynki przez zabawę i grę, przez wycieczki i przeżycia, przechodzą przygotowania do dalszego stopnia — do Harcerstwa.

Na naszej fotografji widzicie grupkę Waszych rówieśników jak ubrani we wspaniałe przez siebie zrobione hełmy, uzbrojeni w groźne miecze i tarcze atakują niewidzialnego wroga w walce o Wolną Polskę.

Szczęść Boże dzielnym wojownikom!

archiwum

PRZYGODY OPCIUNIA I CINOPKI

rys. : J.K. tekst : Z.D.

CZEŚĆ II

Spójrz — czy widzisz tę ławeczkę
Odpocznijmy se troszeczkę

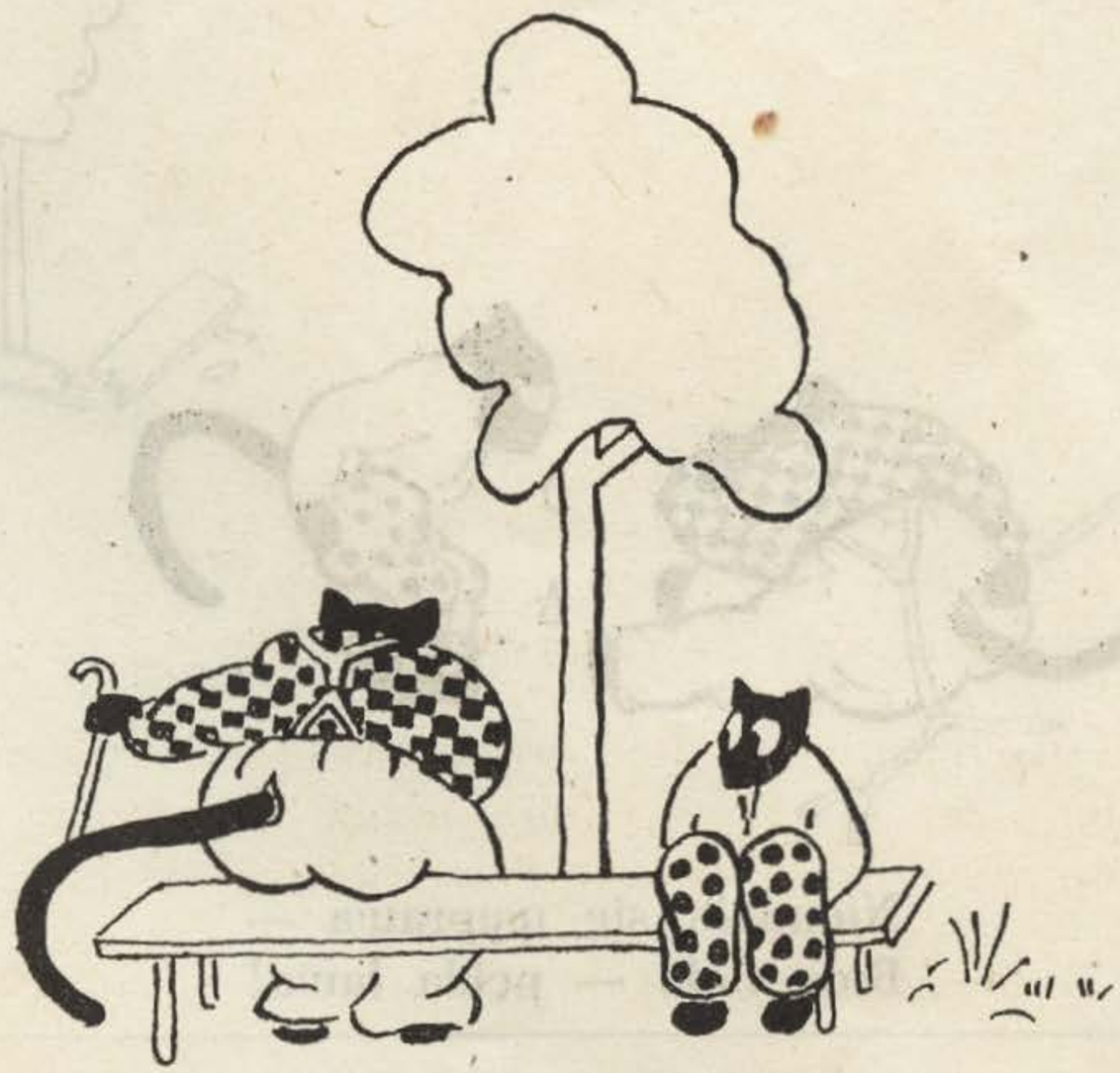

Siadł Opciunio z towarzyszem
Jakieś dziwne dźwięki słyszą

archiwum

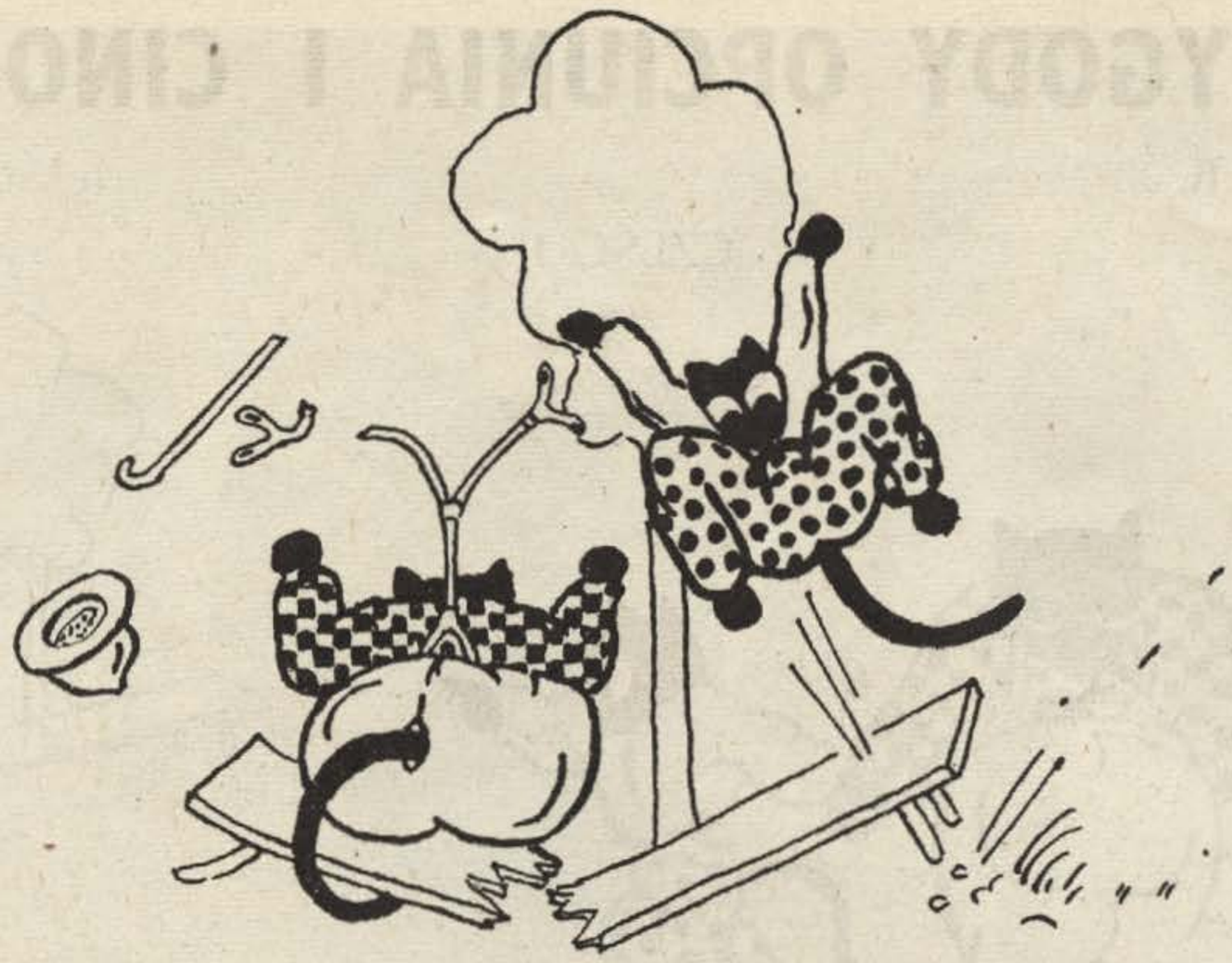

Ławka bardzo groźnie trzeszczy
Jeden płacze, drugi wrzeszczy.

Nieudała się wyprawa —
Bolą boki — pękła ława!

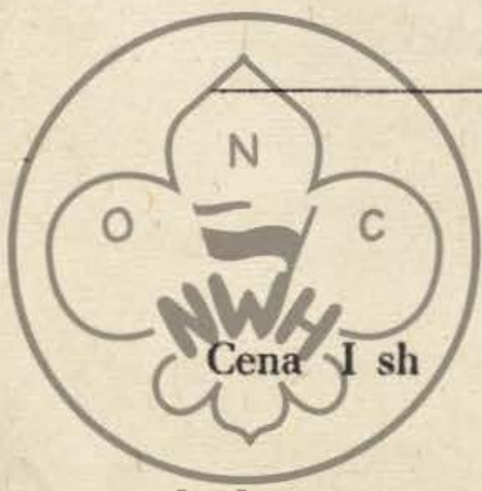

ŚWIAT MŁODYCH I ZUCH
dla młodzieży i dla dzieci
WYDAWCA: ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO
Naczelnictwo poza granicami Kraju
21, Earls Court Square.
London S.W. 5.

Cena 1 sh

IV-46

archiwum